

Prosta apologia Mszy

Mateusz Czarnecki

Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz” – mówi fraszka Jana Kochanowskiego, znana dzięki lekcjom w szkole, której obecnie brakuje tak jak zdrowia i wielu innych, oczywistych do niedawna przejawów życia społecznego. Uczniowie, nauczyciele i rodzice (czyli spora część narodu) dobrze wiedzą, ile frustracji i niecierpliwości budzi wypatrywanie momentu, w którym można będzie wrócić do zwyczajnych zajęć i, jak dziś się okazuje, radosnego szkolnego znoju. Przeniesienie spotkań i zgromadzeń do internetu dotknęło także życie religijne, a ściślej – uczestnictwo w liturgii. Oglądanie Mszy św. na ekranie i elektroniczna edukacja oprócz samego medium mają więc jedną cechę wspólną: stanowią surogat prawdziwego działania, dreptanie w miejscu, byleby tylko intelekt i duch nie uległy stagnacji. O ile jednak wideokonferencje i lekcje online ujawniają przede wszystkim nieprzystosowanie systemu nauczania do nowej sytuacji, o tyle duchowe łączenie się z celebracją nigdy nie zastąpi pełnego uczestnictwa w liturgii. Jest ono zawsze warunkowe, fragmentaryczne i z natury rzeczy może być wyłącznie przejściowe.

Problem coraz rzadszej obecności wiernych na Mszy i w ogóle zbiorowego, obyczajowego zapomnienia o niej nie jest nowy. Ale w ostatnim czasie wrócił z mocą właśnie za sprawą szczególnych okoliczności związanych z epidemią. Wielokrotnie i na różne sposoby próbuje się więc odpowiedzieć na pytanie, co właściwie „zepsuło się” w świadomości i praktyce religijnej. Bije się na dosyć spóźniony alarm, gdyż generacje, które wprowadzano do Kościoła przedszkolnymi sakropiosenkami, przygotowywano masowo do Pierwszej Komunii i bezdusznie egzaminowano do bierzmowania, dawno wyrosły, rezygnując już nawet ze zwyczajowych wyjść na Pasterkę lub poświęcenie pokarmów w Wielką Sobotę. Jak zatem

katechizować, uczyć i przekonywać do praktyk chrześcijańskich dzieci, które mają już dzieci czy wnuki? I jak z tymi wnukami rozmawiać?

Liturgiczna wytrwałość, czyli o dzieciach w kościele

Nie uciekając od postawionych pytań, tutaj chciałbym jedynie poruszyć sprawę, która mnie osobiście dotyczy. Ze względów rodzicielskich jest nią wprowadzanie dzieci do uczestnictwa we Mszy św.

W myśl naszego renesansowego, szkolnego poety śmiem twierdzić, że dopiero brak każe nam myśleć o tym, czego brakuje. I tak jak potęga dziecięcej fantazji została dostrzeżona wtedy, gdy dzieci zaczęło być w rodzinach coraz mniej, tak też sprawy uczestnictwa w liturgii podjęto i uwypuklono, gdy kościoły wyraźnie zaczęły się wyludniać. Dlatego też obie sprawy obrosły różnymi mitami, a także mistycyzującą aurą. I oto czarodziejski i niezawisły świat dziecka ma być wprowadzony w liturgię rozumianą jako wydarzenie niezwykle, ekscytujące lub ciekawe czy nawet wesołe.

Nie jestem żadnym coachem ani piewcą jakichś metodologii w podejściu do podopiecznych, dlatego odwołam się tylko do swojej praktyki taty szóstki dzieci. Otóż jeśli uczestnictwo we Mszy św. nie stanowi powietrza, którym się oddycha, na dłuższą metę niewiele wskórają najlepsze koncepty wychowawcze ani też konferencje czy lekcje katechezy, które z braku odniesienia do całokształtu życia religijnego zawisły w próżni i przeważnie są dziś przez uczniów traktowane jak koncert pobożnych, czyli abstrakcyjnych życzeń.

Dla dzieci (choć nie tylko) Msza św. jest przede wszystkim doświadczeniem trudnym. Bardzo często budzi więc uzasadniony opór i zniechęcenie, z kolei dla rodzica łączy się z udręką i frustracją, a w każdym razie powoduje ogromny ubytek energii, której i tak nie ma nigdy w zapasie. Czy jest sens zmuszać siebie i dzieci do pójścia na Mszę? Oczywiście! Jeżeli sami nie traktujemy tego jako opresji, ale po prostu jako część życia, jego element nieodzowny i – dosłownie – zbawienny. Myślę więc, że najpoważniejszym błędem w wychowaniu do uczestnictwa we Mszy św. jest sam brak uczestnictwa. Praktyka liturgiczna powinna być podejmowana bez względu na humory, udaną czy nieudaną pogodę itd.

Wobec tego prostego faktu na nieco dalszy plan schodzi intelektualne rozumienie poszczególnych obrzędów, a pełnym tłem staje się element przygodny w postaci wewnętrznego przeżywania Mszy. Obie te rzeczy przychodzą bowiem (choć nie zawsze) pod wpływem długotrwałej i dobrze zakorzenionej praktyki życia religijnego. Natomiast gdyby były one miarą uczestnictwa we Mszy, wybieranie się z dziećmi do kościoła stałoby się zajęciem całkowicie jałowym i rozpaczliwym. Kto jest w stanie przy kilkulatek skupić się na modlitwie, uważnie słuchać Mszy i pozostać w miejscu? Czasem nawet trudno przejść do porządku jakichkolwiek gestów lub udać się do Komunii św., gdy za nagłą potrzebą dziecko musi być wyprowadzone gdzieś poza kościół. A nerwy? A wstyd za rozmaite głośno wypowiedane uwagi? Co więc stanowi kryterium właściwego uczestnictwa we Mszy? Odpowiem: sama fizyczna, poparta wolą obecność na niej. Na każdym etapie życia, w każdym kolejnym roku jest ona inna, zmienia się, ale nie może ustawać. Jeśli z czasem pojawi się emocjonalne, intensywne przeżywanie Mszy czy poczucie szczególnego zanurzenia i zaangażowania w modlitwę, to dobrze, ale nie jest to ani cel, ani nawet konieczny, pożądaný środek do tego, by właściwie się modlić na Mszy i – Mszę. To zaledwie efekt uboczny. Żadna formacja ani katecheza, żadne też pomysły na to, jak „zagospodarować” dzieci podczas liturgii oraz sprawić, że Msza stanie się dla nich miłą i warta niedzielnej uwagi, nie zastąpią regularnego, zwykłego chodzenia do kościoła. Z wytartą, rytmiczną konsekwencją i samozaparciem, które jest najszlachetniejszą formą żarliwości.

Kościół jako zrzedliwa żona

Naturalnie nie mam zamiaru deprecjonować wielu funkcjonujących, np. w duszpasterstwach i rozmaitych grupach, form żywego, duchowego angażowania się w modlitwę. Jeśli jednak uczestnictwo w Eucharystii oraz wychowanie do niego jest dziś problematyczne, to – jestem o tym przekonany – właśnie dlatego, że dla mnóstwa ludzi w Kościele przestało być oczywiste. I to jeszcze zanim niedzielny rytm wyjść do kościoła został zaburzony wskutek pandemii. Staliśmy się świadomymi konsumentami, w związku z tym nie przyjmujemy pokornie niekontaktowego, pozbawionego mimiki i polotu księdza, braku miłej atmosfery

czy kiczowatej lub przeciwnie, zbyt dostojnej gry i śpiewu organisty. A także szeregu innych elementów, które nie mieszczą się w naszej wizji Kościoła. I nie chodzi o to, że „pewien człowiek z Nowej Zelandii”, czyli bohater typowych kaznodziejskich historii, ma rzeczywiście z jakichś mniej lub bardziej jasnych przyczyn stać się dla nas moralnym wzorem albo że mamy biernie zgadzać się na tandetę w jakiegokolwiek innej dziedzinie, jak choćby plastikowe paramenty czy sentymentalne, smętne i często infantylne pieśni mszalne. O poważniejszych zgorszeniach nawet nie wspominając. Ale o to, że ta tandeta nie podważa samej liturgii. Jest uwłaczająca, woła o zmianę czy pomstę do nieba, ale Mszy nie dewaluuje. Uprawiany przez nas churching i grymaszenie bierze się stąd, że na Mszę jako taką, jak i na naukę Kościoła, zwykło się patrzeć przez palce. W ogóle nasz związek z Kościołem katolickim wyraźnie się rozluźnia. Przypomina związek małżeński w stanie dosyć głębokiego kryzysu. Pochłania nas więc rutyna i podszyta irytacją nuda. Zdawałoby się, że znamy go na wylot, niczym nas nie zaskoczy. Jego wieczne napomnienia, wskazówki, te same pomysły na wspólnie spędzony czas... W każdym razie najlepsze lata wydają się być już za nami. Czy nie tak? Kościół w Polsce to po prostu zrzedliwa żona lub przewidywalny mąż waśniak. Jeśli będzie zbyt natarciwy, możemy mu zagrozić rozwodem.

Nawet jeśli przesadzam (choć sam uważam, że tak nie jest), to muszę powiedzieć, że rozmowa o Mszy i przygotowywaniu do niej dzieci czy młodzieży nie ma większego sensu z ludźmi, dla których Kościół to właśnie taki współmałżonek, czyli – inaczej rzecz ujmując – przestarzały twór, niespełniający ich potrzeb i oczekiwań, działający wbrew ich prywatnym przekonaniom i chcący narzucić swoje „nieludzkie” zasady.

Racja (bytu) Mszy

Wobec zawirowań epidemicznych dla nikogo sytuacja nie jest oczywista – rozwiązania i obostrzenia są w różnych krajach różne, a zagrożenie choć realne, to słabo jeszcze rozpoznane, tak że na każdym kroku można obserwować objawy ludzkiej niewiedzy, brak logiki i konsekwencji w działaniu. Rodzi się więc pytanie: co jest rozsądne, a co nie? Jakie postępowanie uznać za racjonalne? Lub też: jakie są kryteria racjonalności?

Pytań tych nie da się rozpatrywać tylko teoretycznie i biernie. Życie jak zwykle nas wyprzedza i trzeba podejmować decyzje, zanim mamy pełną wiedzę i pewność co do skuteczności i zasadności działań. Mamy więc iść na Mszę czy nie?

Dla osób wierzących nie ulega wątpliwości, że Msza ze swej natury domaga się uczestnictwa. A wobec tego racjonalność wiary kształtuje się nieco inaczej niż – jak zwykło się mówić – racjonalność światowa. Nie dlatego, że perspektywa religijna podważa rozum i lekceważy ryzyko, ale ponieważ „liturgia jest szczytem i źródłem życia chrześcijańskiego” – jak mówi jedno ze słynniejszych zdań Soboru Watykańskiego II. Co za tym idzie – konieczne jest szukanie możliwości uczestniczenia w niej wszystkimi danymi w konkretnym czasie środkami. Takimi, które są osadzone w rzeczywistości. Jeśli obecne restrykcje przyjmujemy biernie, nie wypatrując na najbliższym horyzoncie możliwości choćby wejścia do kruchty kościoła lub stanięcia pod ogrodzeniem, to sygnał, że z wiarą jest problem. Jeżeli włączymy się w chór głosów mówiących, że zgromadzenia liturgiczne to w każdym przypadku i formie skrajne szaleństwo, nieodpowiedzialność i nieracjonalne podejmowanie ryzyka, wtedy przyjmujemy łatwe i wybiórcze kryteria osądu, które kwestię wiary traktują zewnętrźnie. Oczywiście wirus nie rozróżnia typów zgromadzeń. Czy jednak Mszę możemy postawić w szeregu siłowni, klubów i wszelkiego rodzaju hobbystycznych sposobów spędzania czasu wolnego? Stanowczo nie jest ona tylko pomysłem na dobre czasy. Zatem kryteria i środki ostrożności muszą wypływać z rozumności człowieka i odnosić się do jej źródeł. Bo to dar Stwórcy, który najpełniej objawia się podczas Eucharystii. ■

*Napisane w grudniu 2020 r.,
w szpitalnej kolejce do poradni specjalistycznej*